Świat powieściowy.

Nr. 108 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

V.

Pani de Planche-Mibray mówiła dalej:

— Wiesz moja droga, że mąż mój kupił willę w okolicy Versalu, na drodze do Saint-Cloud, niedaleko lasów i stawu de Cucuphar.

Zwykle zimę spędzaliśmy w Paryżu, wiosnę w tej willi, o której ci mówię, lato u wód, a jesień w naszym zamku de Planche-Mibray. Zamek ten był najulubieńszem miejscem mego pobytu. Zdawało mi się zawsze, żem tam najszczęśliwsza.

Baron często polował, konie i psiarnię miał w Vancresson, pół mili od tej willi, którą zwano la Folie-Méchin.

Był to prześliczny domek, otoczony dokoła wspaniałemi drzewami, a niedaleko rozciągał się dość wielki stawek. Lasy de Cucuphar otaczały go.

W którą stronę wyjść było, wszędzie lasy, w nich masa ścieżek, i pełno strumyków szemrzących.

Od śmierci barona nie byłam tam.

W pierwszych miesiącach bardzo byłam zrozpaczona. Nie chciałam widzieć nikogo i wszystko mi było obojętne.

Jednakże w styczniu tego roku, jednego dnia słońce świeciło prześlicznie, powietrze było łagodne jak na wiosnę i uczułam potrzebę odetchnienia świeżem powietrzem.

— Gdybym też pojechała do willi la Folie-Méchin? — rzekłam sama do siebie.

Lubiłam zawsze wieś w porze zimowej.

Drzewa okryte śniegiem, liście zżołkłe, cała natura zaumarła, wszystko to nadzwyczaj mi się podoba.

Pojechałam więc koło południa, zabrawszy z sobą pokojowę i stangreta.

Miałam zamiar z tydzień zabawić w la Folie.

Mając tam książki, fortepian, przekonaną byłam, że czas mi przejdzie prędko, a postanowiłam oprócz tego odbywać dalekie wycieczki konno i pieszo.

Nazajutrz po moim przyjeździe, dzień był prześliczny, więc kazałam osiodłać konia, i z prawdziwą roskoszą przebiegałam te piękne lasy de Cucuphar, które są prawdziwym parkiem Versalu.

Stangret jechał za mną zdaleka, a ja puściwszy cugle memu rumakowi, dziką przyjemność w tem znajdowałam, że mię unosił po drogach najniedostępniejszych.

Szalałam tak długo. Koło trzeciej godziny, słońce zaczęło już zachodzić, i myślałam o powrocie, gdy nagle ciche tony jakiejś dziwnej muzyki doleciały mych uszu. Tony te miały w sobie coś tak dzikiego, przeraźliwego i sprzecznego, że pewno odpędziłyby każdego melomana.

Jednakże rzecz dziwna, ja, która jestem nader muzykalną, czułam się jak gdyby pociągnięta niewidzialną siłą.

Skierowałam konia w tę stronę.

W miarę zbliżania się, tony były coraz wyraźniejsze.

Poznawałam dokładnie bębenek z dzwonkami, dudy i kastaniety.

Zbliżałam się ciągle...

Po upływie kwadransa, zobaczyłam zdaleka bielejące chaty w Vancresson, które widać po lewej i po prawej stronie drogi.

Wtedy łatwo rozpoznać mogłam, z kąd pochodziła ta muzyka.

Banda cyganów umieściła się w pośrodku drogi, i produkowała się przed kilkunastoma wieśniakami, którzy przybiegli z chałup sąsiednich.

Wstrzymałam konia, i stanęłam w niejakiej odległości.

Płot, wznoszący się nie daleko, przeszkadzał cyganom w zobaczeniu mnie, podczas gdy ja ich widziałam dokładnie.

Służący mój został w tyle, o jakie sto kroków. Cyganka tańczyła b o l e r o, akompaniując sobie kastanietami. Dwóch mężczyzn grało, jeden na dudach, drugi bił w bębenek.

Biedny chłopczyna obdarty, z miseczką drewnianą w ręku, obchodził widzów.

Trojo maleńkich dzieci tańczyło obok swej matki.

Czy uwierzysz, droga moja — mówiła dalej pani de Planche-Mibray — że na widok ten, jakieś nieokreślone wspomnienia zamajaczyły przed oczyma mej duszy.

Nie wiem czy to była fantazja mojej wyobraźni, lecz zdawało mi się, jak gdyby jakaś zasłona rozdarła się w mej pamięci, która dotąd nie mogła odnieść się dalej, jak do pensjonatu pani Bergeron.

Zdawało mi się, że jestem maleńką, leżę na tapczanie, w jakimś niby domu na kołach.

Kobieta o oczach pałających, twarzy oliwkowej, nachyla się do mnie i patrzy na mnie z miłością. Czułam w tej chwili, jakby dalekie jakieś przypomnienie, że dziwna ta muzyka kołysała mnie w dzieciństwie...

Wpatrywałam się tak nieporuszona, milcząca, z godzinę może, zatopiona w niewyraźnej mgle wspomnień dalekiej przeszłości.

Nareszcie muzyka ucichła, cyganka skończyła swój taniec, dziecię przestało zbierać pieniądze, a obaj mężczyźni zaczęli składać dywan, który rozłożyli na drodze.

Potem widziałam jak skierowali się na drogę do Versalu.

Mimowolnie podążyłam za nimi zdaleka.

Dlaczego?

Coś, przeciw czemu napróżno walczyłam, pociągało mię za nimi.

Gdy byłam już nie daleko Vancresson, puściłam konia galopem.

Wtedy, przejeżdżając koło nich, rzuciłam dziecku, które niedawno zbierało pieniądze, dwa luidory.

Cyganie rozsunęli się na dwie strony, aby mi zrobić miejsce.

Kobieta, która niedawno tańczyła b o l e r o, podniosła na mnie swe wielkie, czarne oczy.

I zdawało się, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł nas obie.

Cyganka stłumiła wykrzyk, i imię dziwne, które słyszałam po raz pierwszy, doleciało mych uszu:

— Perdita!

Spojrzawszy na nią, coś, gdyby dalekie wspomnienie, przemknęło w mej pamięci. Zdawało mi się, jak gdybym już gdzieś widziała tę kobietę, i zatrzymałam się milcząca, patrząc na nią ździwiona i pomieszana.

Przez chwilę wpatrywałyśmy się tak w siebie, i dopiero przybycie mego służącego, wyrwało nas obie z tego zamyślenia.

Służący mój, widząc mię samą w pośrodku cyganów, pospieszył, aby mię zasłonić w potrzebie.

Cyganka oprzytomniała.

— Wybacz mi, łaskawa pani — rzekła — jestem czasem szaloną, ale tak mi pani przypomina Perditę.

I chciała iść dalej.

Zatrzymałam ją skinieniem, a dając dziecku drugi pieniądz złoty, rzekłam do matki:

— Któż to był taki ta Perdita, moja poczciwa kobieto?

— Była to żona cygana Fanfreluche.

— A cóż to za jeden ten Fanfreluche?

— Biedny kuglarz, wysłany na galery.

— Za jakąż zbrodnię?

— Zabił swą żonę.

— Perditę?

— Tak.

— I wy mówicie — rzekłam drżąc cała — że ja jestem podobną do Perdity?

— O! nie — odrzekła — tak piękna dama jak pani... to być nie może, wybacz mi łaskawa pani.

I poszła dalej, przyspieszywszy kroku, aby dogonić towarzyszy, którzy poszli naprzód.

Co do mnie, moja droga, mówiła dalej pani Planche-Mibray, zacięłam konia szpicrutą i przeskakując rowy po drodze, puściłam się galopem przez las.

Cyganka nie była szaloną, to ja nią byłam.

Wróciwszy do domu, postanowiłam zrobić dziwną próbę.

Zamknąwszy się w moim pokoju, zapaliłam świece i poczęłam szukać po szafach starych ubrań, które tam pochowałam przed dwoma laty.

Pomiędzy sukniami, znalazłam staniczek czarny, aksamitny i spódniczkę różową.

Ubrałam się w to, potem rozpuściwszy włosy, skręciłam je i owinęłam w sposób, jak noszą hiszpanki, nareszcie zawiązałam głowę ponsową chustką, tak jak cyganka, którą widziałam przed chwilą, i spojrzałam w zwierciadło.

Ale nagle cofnęłam się przerażona.

Byłam z pewnością z rodu cygańskiego.

Miałam zupełnie typ tej dziwnej rasy, pochodzącej nie wiedzieć z kąd, i którą wszędzie poznać można.

Wzdrygnęłam się...

Perdita ta, do której byłam podobna, była może moją matką!...

Przeżyłam wieczór straszny, a w uszach brzmiała mi ciągle ta dzika muzyka, której tony obudziły we mnie te niepewne wspomnienia.

Koło północy, gdy leżałam już w łóżku, starając się nadaremnie zasnąć, doleciały mię znowu tony tej muzyki, ale już rzeczywiste, a nie urojone.

Jak szalona zerwałam się z łóżka, pot zimny wystąpił mi na czoło; pobiegłam do okna i otworzyłam je.

W spokoju ciszy nocnej, odgłos tej dzikiej muzyki cyganów dolatywał do mych uszu dokładnie.

Spostrzegłszy światło czerwone pomiędzy drzewami, byłam przekonaną, że musieli rozłożyć się z drugiej strony lasu, naprzeciw Versalu.

Byłto ogień, który zwykle zapalają co wieczora.

Wtedy moja droga — mówiła dalej pani de Planche-Mibray mocno wzruszona — wstałam, ubrałam się, potem zadzwoniłam.

Pokojowa moja przybyła zdziwiona, a byłam tak blada, iż sądziła żem chora.

— Z kąd ta muzyka, czy słyszysz? — zapytałam ją.

— To z tamtąd — odrzekła, i wskazała na światło czerwone, które coraz zdawało się zwiększać.

— Któż tam jest?

— To jutro, proszę pani, święto w Versalu, i kilka band cyganów przywędrowało w te strony. Zamiast spać oni tańczą.

— Idź, zawołaj mi Jana; jeżeli się położył niech wstanie.

Podczas gdy pokojowa poszła wypełnić me rozkazy, ubrałam się do wyjścia.

— Ale cóż zamyślałaś uczynić? — zapytała pani Villemur, nadzwyczaj wzruszona tem opowiadaniem.

— Zobaczysz.

I pani de Planche-Mibray, otarłszy chustką zimny pot z czoła, ciągnęła dalej:

VI.

— W kwadrans później, owinięta w płaszcz długi, z głową okrytą kapiszonem, wychodziłam z domu, a za mną postępował służący mój Jan.

Noc była zimna, ale niebo jasne i w lesie sucho.

Kierując się tem światłem czerwonem, które rumieniło horyzont, szłam ścieżką wąziutką przez las.

Jan szedł wciąż za mną.

Nie mówił nic, żadnej nie zrobił mi uwagi, ale odgadywałam jego zdziwienie.

W miarę jak zbliżaliśmy się, dzika muzyka cyganów stawała się coraz wyraźniejszą. Potem dolatywały mię głośne śmiechy, i urywki dziwnych pieśni...

Światło także zdawało się coraz jaśniejsze, aż nareszcie między drzewami, ujrzałam wyraźnie rozłożony obóz cyganów.

Rozłożyli się w lesie na obszernej łące i rozpalili wielki ogień.

Trzy budy ustawione jedna koło drugiej, świadczyły, że trzy różne bandy zebrały się.

Cyganie, będąc pokoleniem koczującem, zachowali, jak mi mówiono, pewne węzły przyjaźni, pewną łączność i solidarność, które im nakazuje ich religja bałwochwalcza.

I tak, w pewnych dniach, w wigilję jakichś świąt naprzykład, umawiają i zbierają się punktualnie.

Ukrywszy się za drzewem o jakie pięćdziesiąt kroków, widziałam ich dokładnie, nie będąc sama widzianą.

Budy były pozamykane, a chociaż muzyka grała zapamiętale, nie mieli nikogo z widzów.

Bawili się sami dla siebie. Kobiety, mężczyźni i dzieci, wziąwszy się za ręce, tańczyli śpiewając naokoło ognia.

Jeden z nich tylko nie tańczył.

Byłto człowiek zapewne przeszło trzydziestoletni, piękny, z wyrazem twarzy dzikim i śmiałym, o cerze smagłej, oku pałającem ogniem ponurym. Oparł się o drzewo i zdawał się zatopiony w niemem rozmyślaniu.

Czy nosił w sercu jaką miłość szaloną, gwałtowną i dziką, która tak odpowiada tej rasie przeklętej? Czy też rozmyślał nad jaką zbrodnią? Nie wiem.

Zaczęłam się przypatrywać temu człowiekowi, który mię nie widział, a którego wzrok niepewny i ponury, zrobił wkrótce na mnie dziwne wrażenie.

Na próżno odwracając wzrok mój od niego, starałam się go przenieść na te istoty dziwne, okryte blaszkami i świecidłami, które zdawały się bawić z prawdziwą roskoszą.

Napróżno siliłam się wpatrywać w te kobiety o rysach ostrych, ustach koralowych, włosach czarnych, a do których stanowczo nadzwyczaj byłam podobną.

Próżno ścigałam oczami te dzieci z włosami rozczochranemi, które skakały w około i przeskakiwały ogień, jak legion djablików, w obrazie którego malarza hiszpańskiego nowej szkoły.

Wzrok mój powracał ustawicznie do tego człowieka, który zdawał się ciągle zatopiony w swoich marzeniach.

Nareszcie nadeszła chwila, w której jak gdyby oczarowana, postąpiłam o krok naprzód, potem o dwa...

Cyganie oddani zupełnie zabawie, nie widzieli mię.

Czułam się pociągnięta ku nim siłą jakąś nieprzezwyciężoną, i chwila była bliska, w której zrzuciwszy płaszcz, rzuciłabym się w ich koło, i zaczęła tańczyć z nimi, szalona, bezprzytomna, cyganka jak one.

Nagle Jan schwycił mię silnie za rękę.

— Pani baronowo — rzekł z cicha.

— Co to jest? czego chcesz? — zapytałam rozgorączkowana.

— Czy pani baronowa chce, aby ją zamordowano?

Słowa te wróciły mi przytomność.

I wyrywając się siłą z pod czaru tego cygana, obróciłam się do Jana.

— Ależ pani — rzekł do mnie biedny chłopczysko z wyrazem naiwnej niespokojności — ci ludzie są to złodzieje... odarłszy panią mogą zamordować.

— Och!—krzyknęłam, robiąc wysilenie nadzwyczajne — masz słuszność... jestem szalona... uprowadź mię...

I schwyciłam się jego, a że chwiałam się i byłam bliską omdlenia, wziął mię na ręce i uniósł biegnąc.

Nazajutrz, droga moja — ciągnęła dalej pani de Planche - Mibray — leżałam chora w okropnej gorączce.

Zdawało mi się ciągle, że słyszę tę piekielną muzykę, a wzrok ponury tego człowieka cięży na mnie.

Pani de Planche-Mibray była strasznie blada i wzruszona, skończywszy te zwierzenia, a pani Villemur wziąwszy ją za ręce, rzekła:

— Kochana, droga moja, wiem, że jesteś rozdrażniona wskutek ciosu strasznego, jaki cię dotknął, i wierz mi, że następstwem tego rozdrażnienia cała ta awantura, o której mi opowiadasz, która zresztą nie ma w sobie nic nadzwyczajnego. Co do tej myśli śmiesznej, która cię opanowała...

— Że jestem cyganką?

— Tak. Myśl tę musisz odrzucić, bo nieprawdopodobna i to z ważnego powodu.

*

— Z jakiego? — zapytała pani de Planche-Mibray głosem niespokojnym.

— Z powodu imienia, jakie nosisz.

— Cóż z tego?

— Pan de Planche-Mibray, zacny szlachcic, którego opłakujesz, należał do dawnej familji arystokratycznej, i wierzaj mi, miał jej uprzedzenia i przesądy. Gdybyś była córką cygana, nigdy by ci był nie dał swojego imienia.

— Masz może słuszność — szepnęła baronowa, trochę uspokojona temi słowy.

— Spodziewam się, żeś więcej nie widziała tych cyganów? — spytała pani Villemur.

— Widziałam jednego.

— Którego?

— Tego z wzrokiem pałającym.

Tu znów głos pani de Planche-Mibray zadrżał.

— Gdzież to? — zapytała pani Villemur.

— Przed trzema tygodniami na polach Elizejskich... Wracałam ze spaceru. Konie pędziły szybkiem kłusem.

Nagle woźnica mój wstrzymał je tak gwałtownie, że aż się spięły.

Omało nie obaliły i nie roztratowały człowieka, idącego spokojnie między kilkoma tysiącami powozów, które się mijały.

Człowiek ten obrócił się, wpatrzył we mnie, a w wzroku jego była ponura, dzika ironja.

Byłto on!

— Kuglarz? — rzekła pani Villemur.

— Nie był już ubrany po cygańsku, lecz jako człowiek klasy średniej.

Ale pomimo tej zmiany, poznałam go, i od tej pory, zawsze gdy zamknę oczy, widzę ten wzrok dziwny i szyderczy, który ściga mię wszędzie.

Po tem ostatniem zwierzeniu pani de Planche-Mibray, obie umilkły na chwilę.

Po chwili pani Villemur odezwała się:

— Droga moja, czy pozwolisz, abym ci dała jedną radę?

— Radę?

— Tak, a raczej dwie.

— Mów, proszę cię. Pierwsza?

— Wiosna się zbliża. Jedź na miesiąc lub dwa do Planche-Mibray, tego pięknego zamku, którego wierzyczki przeglądają się w l'Yonnie, i który leży w tak ślicznej okolicy.

— Rada twoja dobra, moja miła, ale trochę zapóźna.

— Dlaczego?

— Bo sama już to postanowiłam. Odjeżdżam za dwa dni.

— Cieszy mię to. A więc słuchaj mej drugiej rady.

— Zobaczymy.

— Masz dwadzieścia sześć lat moja droga, dość już opłakałaś pana de Planche-Mibray. Musisz wyjść zamąż.

Młoda kobieta zarumieniła się trochę.

— Założę się — rzekła pani Villemur uśmiechnąwszy się — że gdyby Manuel Maugeville..

Twarz młodej kobiety oblała się szkarłatem.

— O! Marto — odrzekła — na miłość Boską... nie kończ...

— Dobrze — odparła pani Villemur śmiejąc się. Ale jak zobaczę pana de Maugeville, poradzę mu, żeby pojechał do zamku du Senil, z którego okien widać dokładnie wierzyczki zamku de Planche-Mibray.

Pani Villemur spędziła resztę dnia z baronową.

Jadła objad z nią razem i opuściła dopiero koło dziesiątej wieczór, odchodząc razem z guwernantką, która przyszła po dzieci.

Baronowa zdawała się spokojniejsza, porzuciła nawet po części tę myśl szczególną, która ją prześladowała od dwóch miesięcy.

Jednakże gdy przyjaciółka odeszła, dawne myśli powróciły.

A potem pani Villemur jednem słówkiem zbudziła w niej nowy niepokój.

Wymówiła imię Manuela de Maugeville.

Imię to wzbudziło może w duszy pani de Planche-Mibray marzenie niegdyś pieszczone, a na chwilę zapomniane.

Jakkolwiek było, baronowa po odejściu pani Villemur, nie położyła się do łóżka jak zwykle.

Zawinąwszy się w ciepłe futerko, zeszła do ogrodu przejść się po alejach. Noc była prześliczna, a księżyc rzucał bladawe światło na wielkie drzewa ogołocone z liści.

Jedna z aleji prowadziła do małej furtki, wychodzącej na ulicę Inwalidów. Furtka ta otwierała się rzadko. Za życia pana de Planche-Mibray, czasem który ze służących przeszedł tamtędy, aby skrócić sobie drogę. Ale po jego śmierci pani de Planche-Mibray odebrała klucze z rąk służących dla przezorności.

Sama tylko miała klucz od tej furtki, i rzadko go używała.

Właśnie niedaleko tej furtki była ławeczka drewniana. Baronowa usiadła, rozmyślając nad ostatnią radą pani Villemur.

Powietrze było przyjemne, księżyc świecił jasno, cisza panowała głęboka, a baronowa czuła tak gwałtowną potrzebę samotności, że zapomniała o czasie i dwie godzin przesiedziała w zamyśleniu.

Dopiero dwunasta, bijąca na zegarze świętej Klotyldy, wyrwała ją z tych marzeń.

Właśnie chciała wstać, gdy szmer jakiś usłyszała obok siebie.

Klucz obrócił się w zamku furtki.

Pani de Planche-Mibray zerwała się przestraszona.

Furtka się otwarła, człowiek jakiś wszedł.

Baronowa krzyknęła z przerażenia.

Człowiekiem, który się wkradał do niej o północy, był cygan o oczach pałających, cygan, który ją obrzucił wzrokiem dzikiej ironji, w chwili, gdy go o mało nie rozjechały jej konie, na polach Elizejskich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

IX.

Pan sędzia odprowadziwszy aż za drzwi z wielkimi ukłonami pana Jonatana Endersa, zamknął biuro, i z miną nader zadowoloną pospieszył do domu. Tuż koło mieszkania spostrzegł pana Eugeniusza, który ukłoniwszy mu się, pomknął szybko ulicą. Oblicze pana sędziego zasępiło się. Przypomniał sobie przykre marzenie poranne.

— Hm — bąknął — muszę się przekonać. — A że był sędzią i przywykł do wszelkich indagacji, nie wątpił, iż tak czy tak, dowie się prawdy.—-Najgorsza zaś prawda — dodał w duchu — lepsza niż niepewność.

Przybrawszy więc zwykłą wesołą minę, wszedł do domu z uśmiechem na ustach.

— Witam kochaną żoneczkę — wołał na progu. — Zawsze filutka! — dodał całując podane mu czoło.

— Czekam z objadem już od pół godziny!... Coś się dzisiaj spóźniłeś — trzepotała kobiecina, ciągnąc męża ku jadalnej sali.

Przy objedzie pan sędzia poprzestał na milczącem badaniu żony. Przy czarnej kawie jednak, i gdy się usadowiono wygodnie na kanapie w saloniku, zwracając zręcznie rozmowę, pan sędzia zagadnął w końcu żonę, wpatrując się w nią bystro:

— W jakim to interesie był tu dzisiaj Eugeniusz?

— Eugeniusz? — ruszyła ramionami. — On do mnie nie ma żadnych interesów!

— Ej!... przecież go widziałem jak ztąd wychodził! — zawołał sędzia trochę porywczo.

— Widziałeś? A no w takim razie muszę ci już wszystko wyznać... — rzekła spuszczając oczy.

Rzadkie włosy pana sędziego zaczęły zdradzać chęć wyprostowania się ku górze, na takie dictum swej połowicy. Żałował prawie, że zaczął. Wolałby już żyć w niepewności, bo ta pewność przedtem zachwalana, jakoś mu się wydała nie bardzo miłą na samym wstępie.

— Słucham cię — bąknął.

— Boję się tylko...

— Nie bój się — przerwał sędzia grobowym głosem.

— Czy mi uwierzysz?... — dodała pani.

— O! uwierzę... uwierzę!... — odrzekł mąż z goryczą.

— Otóż widzisz mój kochany...

— Kochany!... kochany!... To możnaby opuścić w tego rodzaju zwierzeniach, jakie pani mi masz uczynić.

— Ależ ja nie rozumiem...

— Do rzeczy!... proszę do rzeczy!... — mówił, a raczej syczał pan sędzia, coraz więcej gniewem pożerany.

Pani ruszyła ramionami i uśmiechnąwszy się z politowaniem, rzekła:

— Eugeniusz był tutaj zawezwany przezemnie...

— Ślicznie! — przerwał sędzia.

— Pozwól mi mówić, bo nigdy nie skończę! — odparła pani dobitnie. — Otóż śmieszne są twoje posądzenia, bo rozumiem już teraz, co masz na myśli. Eugeniusza wezwałam, chcąc go prosić, by mi pomógł jako znawca, wybrać dla ciebie na imieniny fajkę. Widzisz!... ja o tobie myślę, a ty niewdzięczniku...

— Fajkę!... fajkę!... Znamy się na fajkach, powiedz rogi! rogi! — wołał sędzia.

— Jakie rogi? Co tobie się stało?!

— Co mnie się stało?...

Pani patrzyła na męża, a po drganiu różowych ustek widać było jakąś walkę, toczącą się w jej sercu czy umyśle. Raz usta skrzywiały się wzgardliwie, raz pewna obawa malowała się na twarzy. W końcu uśmiech przelotny zakończył tę walkę, jak ostatni błysk po burzy, i rzekła tonem pieszczotliwym:

— Fe mężulku! Gdybym cię dobrze nie znała, mogłabym się naprawdę pogniewać na ciebie za to wszystko! Ale jestem dobrą, i zamiast gniewu, podzielę się z tobą nowinką, o której właściwie nie powinienbyś wiedzieć, przynajmniej z moich ust.

— Kobiece figle!... — oponował sędzia.

— Eugeniusz — mówiła pani nie zważając — opowiedział mi przy tej sposobności całą historję o tej angielce.

Pan sędzia począł słuchać uważnie.

— Nie wiem tylko, czy mogę zdradzać tę tajemnicę, powierzoną mi w zaufaniu — wahała się pani.

— Przed mężem, jak przed Bogiem! — tłumaczył pan sędzia.

— Tak, ale musisz mi dać słowo, że nie zrobisz z tego urzędowego użytku.

— Masz je!

— Otóż on widział tę angielkę!

— Co?! — zawołał sędzia.

— Ale nie tylko widział, lecz wie gdzie się ukrywa.

— Bajki!...

— Dałeś słowo, że nie zdradzisz tajemnicy, mogę ci więc powiedzieć...

— No gdzie? — pytał niecierpliwie pan sędzia,

nie mogąc ukryć zadowolenia. Byłby uściskał Eugeniusza, gdyby mu się był teraz nawinął.

— Ale z pewnością nie zrobisz z tej wiadomości urzędowego użytku?

— Urzędowego nie!... urzędowego nie!... — zapewniał starowina.

— Więc słuchaj. Ta angielka ukrywa się u Gustawa Z.!

— U Gustawa Z?...

— Pamiętaj jednak, że jako sędzia nie wiesz nic o tem!

— Naturalnie, moja kochana, jako sędzia nie wiem nic!... Przyznam ci się — mówił mąż po chwili — że cieszę się wiadomością, iż ona żyje. O ile bowiem widziałem z aktów, musielibyśmy ją uniewinnić, a zachodziła obawa, prawie pewność, że sobie życie odebrała.

I pan sędzia zapomniawszy o posądzeniach i marzeniach, ucałował żonę, i wyszedł nucąc jakąś odwieczną aryjkę.

Szkoda jednak, że się nie obrócił na progu pokoju, bo byłby zobaczył coś... coś... co to studenci zwykli wykonywać przy pomocy nosa i ręki, po za plecyma niepopularnych profesorów.

O biedny sędzio rzeczy ludzkich!... Jakże się na tobie sprawdziło przysłowie:

Że stary mąż, a młode ciele,
Nie różnią się wiele!...

A ty pędzisz!... gdzie?... Tam, gdzie obowiązek i sumienie iść ci pozwolić nie powinny!...

Ale Józia ma wielkie wymagania... a ty masz mało pieniędzy... zawsze mało... nigdy zanadto...

A pan Jonatan Enders obiecał ci wiele, bardzo wiele pieniędzy, za odszukanie angielki, i ślepy traf ci pomógł, szczęśliwy, po trzykroć szczęśliwy panie sędzio!...

X.

Rozdział ten poświęcimy ogólnym uwagom nad przebiegiem naszego opowiadania, od chwili zemdlenia panny Heleny, do pojawienia się na arenie pana Jonatana Endersa. Osoby i zdarzenia opisane w poprzednich rozdziałach, poczynają nabierać pewnej łączności i ciągłości.

Luźny i oderwany fakt zbrodni hotelowej, grupuje koło siebie pełno drobnych szczegółów, które reasumując przyjdziemy do następującego przekonania, że: 1) Angielka zabiła swego męża pana Meeding. 2) Pan Gustaw Z. młody trzpiot, został wplątany w tę sprawę. 3) Panna Helena kochała pana Gustawa. 4) Pan Eugeniusz kochał się w pani sędzinie, a pani sędzina dla uratowania sytuacji wyjawiła przed mężem tajemnicę, powierzoną jej w zaufaniu. Nakoniec 5) poczciwy Wicuś kiwał na wszystko filozoficznie głową i milczał.

Gdyby więc nie „historja angielska“, jak powszechnie nazywano tę sprawę, to ani pan Gustaw nie wiedziałby tak pewnie, że jest kochany przez pannę Helenę, ani nie byłyby zaszły inne okoliczności, wpływające pośrednio lub bezpośrednio na główną akcję, tego prawdziwego zresztą opowiadania.

Już to położenie pana Gustawa i panny Heleny, nie było do pozazdroszczenia.

Pani Zofia, kobieta rozumna i pełna taktu, daremnie się siliła na wynalezienie jakiego godziwego środka, któryby naprawił choć w części sytuację. Pragnęła z całej duszy, by syn się ożenił, wiedząc z ust starego sługi, że życie jakie prowadził, mogło wziąć bardzo smutny obrót w przyszłości. Już pierwej nieraz, wybadywała Gustawa w tej kwestji. Nie oponował nigdy przeciw zamierzonemu związkowi z Heleną, prosił tylko o zwłokę, pod pozorem, iż nie jest jeszcze pewnym uczuć panny.

Kiedy więc pani Zofia, dowiedziawszy się od Wicusia, o wszystkiem, co świeżo zaszło, słusznie tem przestraszona, poczęła nalegać i teraz na Gustawa odparł on jak zwykle:

— Jeszcze jestem młody... mamy czas! Zresztą nie wiem, czy panna Helena mi sprzyja!...

— Przypuśćmy jednak, że tak jest!

— Kochana matko, nie mogę przecież stawiać gmachu mojej przyszłości, na tak kruchych fundamentach, jak wszelkie przypuszczenia.

— Gdybym ci jednak dostarczyła dowodów!...

— Dowodów? — powtórzył Gustaw, wpatrując się w matkę.

— Tak! Żywię najświętsze przekonanie, iż Helenka sprzyja ci bardzo, i co za tem idzie, że w połączeniu się z nią, znalazłbyś prawdziwe szczęście. Moje dziecko drogie — prosiła — usłuchaj rady matki, i nie odpychaj lekkomyślną i niedoświadczoną ręką tego, co ci los tak szczodrze podaje.

— Los? Nie rozumiem cię matko, wszak jeżeli tak jest jak mówisz, to nie los ślepy, ale rozumna i silna twoja ręka, tem pokierowała, a ja byłem narzędziem!

Domawiając tych słów, Gustaw powstał i począł się przechadzać po pokoju.

— Dobrze, niechaj i tak będzie. Ale w takim razie, honor i obowiązek nakazują ci usłuchać mojej rady. Skoro bowiem poczuwasz się, że wpłynąłeś na uczucia Helenki...

— Niestety!...—przerwał Gustaw. Po chwili zaś dodał stając przed matką: — Lecz z kąd ta pewność? Gdzie dowody, że Helena żywi ku mnie jakieś silniejsze, trwalsze uczucie? Któż może zaręczyć, czy to uczucie jej nie jest tylko przelotną fantazją rozkapryszonej panienki?...

— Ja ci mogę zaręczyć! — odparła pani Zofia uroczystym tonem. Miała jedynie w pamięci szczęście swego jedynaka. Czyż możemy się więc dziwić, gdy zapomniała, iż bardziej teraz niż kiedykolwiek, nie wolno jej było zdradzać uczuć biednego dziewczęcia; i opowiedziała mu o zemdleniu Heleny i jej strasznej rozpaczy, na mylną wiadomość o jego słabości!...

Przez cały czas opowiadania, Gustaw to czerwie-

niał, to bladł, a gdy matka ukończyła, zawołał z rozpaczą:

— O! na cóż się o tem dowiedziałem!...

— Więc inną kochasz?...

Gustaw stanął i patrząc na matkę dziwnym wzrokiem, wzrokiem, w którym się malował, to wyrzut, to żal, to gniew, rzekł powoli ale stanowczo, jak go matka mówiącego jeszcze nigdy nie słyszała:

— Czy kocham inną, tego nie wiem!... Lecz dla Heleny nie żywię w tej chwili nic, prócz głębokiego współczucia i żalu, iż nie umiała zapanować nad sobą i naraziła się zdradzeniem swej tajemnicy, na niedające się obliczyć przykrości i zawody. Wiem dobrze, droga matko, że miłość moja ku tobie idzie w parze z posłuszeństwem, jakie syn jest winien matce. W tym jednak wypadku, muszę ci się stanowczo sprzeciwić!...

— Ależ..— oponowała pani Zofia.

— Nigdy Helena nie zostanie moją żoną!... — przerwał Gustaw. — Jedynem mojem zadaniem będzie tylko złagodzenie losu, jaki ja z tobą matko, zgotowaliśmy tej niewinnej ofiarze twojej zapobiegliwości, w staraniu się o szczęście dla mnie, i mojej nieszczęsnej lekkomyślności! Teraz zaś, kiedy już wiesz kochana matko o mojem niezłomnem w tym względzie postanowieniu, proszę cię, daruj mi, iż może w tej chwili, wydaję ci się złym synem, i nie poruszajmy więcej tego przedmiotu rozmowy!...

— Pomyśl jednak... zastanów się... — próbowała jeszcze pani Zofia.

Gustaw nie odpowiedział jednak już nic, lecz ucałowawszy z pokorą jej rękę, opuścił mieszkanie matki.

Pani Zofia nie poznawała syna. Nie wiedziała czy się ma cieszyć, czy smucić.

Smucić, iż ułożony przez nią i pielęgnowany z taką starannością plan, runął niepowrotnie, czy cieszyć, na widok tej w każdym razie korzystnej zmiany w charakterze jej syna. W duchu przyznawała mu słuszność, i była prawie dumną, widząc rozwijającą się w nim, tę prawdziwie męzką moc i wolę.

To też, gdy Gustaw wrócił za chwilę, ażeby jeszcze prosić matkę, o zachowanie w tajemnicy przed panną Heleną tej całej rozmowy, odrzekła tylko krótko:

— Dobrze — i pocałowała go w czoło na znak zgody.

Pan Gustaw pospieszył teraz na jedną z oddalonych uliczek, i wyszukawszy z trudem numer domu, za którym szukał, wszedł tam. W ciemnej izbie leżał na obdartej kanapie jakiś mężczyzna, a silny odór tytuniowo spirytusowy, nie pozwalał prawie oddychać nowoprzybyłemu.

— Kto tam i po co? — dał się słyszeć ochrypły głos.

— Pan Zander?... — pytał Gustaw.

— W swej własnej i pełnej okazałości — odparł zagadnięty nieruszając się z miejsca.

— Słyszałem wiele o pańskiej nadzwyczajnej biegłości w wyszukiwaniu zaginionych rzeczy — mówił Gustaw. — Otóż przybyłem...

— A, to co innego... proszę, niech pan siada — rzekł grzecznie gospodarz. — Rzeczywiście mam w tym względzie pewne doświadczenie. Umiem wyszukiwać psy... dla myśliwych, koty... dla starych panien, pularesy... dla bankierów, zgubionych mężów... zbiegłe żony... i inne różne tym podobne rzeczy. Zapewne o żonę idzie?—dodał po chwili, widząc, że Gustaw milczy.

Gustaw zaproponował przechadzkę, gdyż dłużej nie mógł wytrzymać w tej dusznej atmosferze. Gdy pan Zander, zachęcony szczególniej hojnym zadatkiem, chętnie na to przystał, wyszli obaj na ulicę i długo się przechadzali. Gdy się rozchodzili, pan Zander rzekł:

— Najdalej za trzy dni zdam panu dokładną, i nie wątpię pomyślną relację.

Gustaw podziękował i pożegnał go skinieniem głowy, a wsiadając do dorożki, szepnął:

— Teraz kolej na pannę Helenę!

Pan Amadeusz, nie mógł się jeszcze uspokoić, choć już sporo godzin upłynęło od objadu. Przechadzał się po salonie, przesuwał krzesła, odrzucał dywany, jednem słowem wyrażał swój gniew, jak i na czem mógł. Że jednak zbliżała się pora rozmowy z kucharzem o dzień następny, umysł jego skierował się powoli ku beefstykom i omlettom.

O córce ani pomyślał. A jednak, gdyby nie ten fatalny objad, jakże by był rozpaczał nad jej zemdleniem!... Wprawdzie przypomniał sobie raz Helenę, lecz zaraz dodał:

— Niechby była zemdlała po objedzie. Zresztą niech by była pilnowała godziny i ubioru, a nie było by tego wszystkiego!

Po rozmowie z kucharzem, uleciał jednak gniew pana Amadeusza, jakby za dotknięciem rószczki czarodziejskiej.

Pobiegł do córki i obietnicami przeróżnych prezentów i przyjemności, starał się ją rozweselić.

— Pojedziemy do Ostendy — mówił — albo gdzie indziej. Powiedz tylko gdzie chcesz?

— Ależ nie mam wcale ochoty wyjeżdżać gdziekolwiek — odpowiadała Helena.

— No dobrze, ale ten pierścionek, który ci się tak podobał u naszego złotnika, o, ten pierścionek, to musisz przyjąć odemnie.

— Na cóż mi pierścionka—mam ich dosyć!

— Możebyś co zjadła?... Widziałem już w sklepie poziomki. O tej porze rzadkość niesłychana... Zaraz poszlę...

— Dziękuję ojcu, nie mam apetytu.

Może to, może owo, może tamto, oto długi i nudny dyalog ojca z córką.

O matko! która patrzysz na to gdzieś z niebios! Jakże musisz boleć nad losem twej córki. Jedno twe słowo, jeden twój uścisk, jeden słodki promień twego

wzroku, ożywił by duszę i serce zbolałego dziecięcia. Niestety...

— Proszę pana... pan Gustaw przyszedł? — przerwała w końcu rozmowę Handzia, wchodząc do pokoju. — Doprawdy, nie rozumiem, co się teraz dzieje na świecie! — dodała, chcąc tem niejako wytłumaczyć swą przedobiadową plotkę.

— Pan Gustaw? — zapytali ojciec i córka.

— A pan Gustaw!... — odparła pokojówka, życząc w duszy Guciowi wszystkiego, tylko nie życia w tej chwili.

Gdy pan Amadeusz wyszedł do salonu, Handzia poczęła się tłumaczyć, składając znowu na Rózię, i opowiadając najdokładniej całą swą z nią rozmowę.

Słów jej jednak panna Helena nie słyszała. Ubierając się mechanicznie, zajęta była rozwiązaniem pytania, czy Gustaw wie o jej zemdleniu, czy nie?... O! bo gdyby wiedział, nie śmiałaby oczu podnieść na niego. Wahała się czy wyjść do salonu, czy nie!... Wśród tej niepewności, jak postąpić, zatęskniło serduszko dziewczęcia, za kimś, kogo by się mogła poradzić, użalić, a choćby wypłakać, tuląc się do gorącej przyjaznej piersi.

Niestety!... powtórzymy znowu.

W tem dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi. To kochający ojciec, sądząc, że obecność Gustawa rozweseli córkę, prowadził go przemocą aż tutaj, do jej pokoju, i pytał, czy może ich przyjąć. Widząc zaś, że Helena była ubrana, pociągnął za sobą Gustawa bez ceremonji.

Zacny pan Amadeusz pomógł tem bezwiednie bardzo wiele tak córce jak i Gustawowi. Niezwykłość położenia wytłumaczyła bowiem w oczach obojgu, obopólne zmięszanie się.

— Pani daruje — rzekł w końcu pierwszy Gustaw tonem spokojnym — lecz najście to jej świątyni zostało i przeprowadzone i kierowane głównie przez ojca pani, który chciał tem sprawić rozrywkę, jak mówi, swej nie całkiem dziś zdrowej córeczce. Wątpię tylko, czy się to udało panu Amadeuszowi.

— Owszem!... Niechże się panowie rozgoszczą tutaj — odparła nieśmiało Helena, próbując spojrzeć na Gustawa, lecz bez skutku.

Rozmawiając to o tem, to o owem, Gustaw skierował w końcu rozmowę na przyjazd swej matki i na plotkę o jego słabości.

— Ten mój Wincenty, już spłatał mi nieraz podobnego figla, ze zbytku troskliwości o mnie — mówił całkiem swobodnie i obojętnie.

— On musi być do pana bardzo przywiązany — wtrąciła Helena.

— Zapewne, lecz wszelki zbytek jest niepotrzebny, a nawet szkodliwy. Ot i dzisiaj przestraszył tak moją matkę...

— Jakto? — odważyła się zapytać panna Helena.

— Matka moja przyjechała w celu poradzenia się adwokata w jakiejś sprawie. Właśnie wychodziła do miasta, gdy służąca zapytała ją o moje zdrowie, gdyż słyszała rano od Wicusia, żem mocno chory. Może pani sobie wyobrazić przestrach mojej matki. Ledwie jej wytłumaczyłem, że głowa mnie tylko rano bolała, a Wicuś uczynił z muchy słonia.

— Ale że pani Zofia, nic nam o tem nie opowiadała — wtrącił pan Amadeusz, który oczywiście z powodu tego fatalnego objadu, nie znał, ani nie dorozumiewał się prawdziwego powodu zemdlenia swej córki.

Powoli panna Helena oswoiła się, ze swojem położeniem, patrzyła śmiało na Gustawa, a gdy odszedł, była stanowczo przekonana, że o niczem nie wie, i dziękowała w duchu pani Zofii, za ten dowód delikatności.

Usnęła, myśląc o Gustawie. Ale myśli te były spokojne, ciche, jak dawniej.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Zbiegi udali się do Szwajcarji, gdzie górskie powietrze, umocniło cokolwiek zdrowie Blanki, nie wyleczywszy jej zupełnie. Miała pozostać słabowitą na całą resztę życia. Młoda kobieta znosiła cierpienia z anielską rezygnacją, przypominały one jednak żywo Gastonowi nieszczęsne otrucie. Co do niej — powtarzała bezustanie — że nigdy nie czuła się tak szczęśliwą. Włóczęga z miejsca na miejsce urzeczywistniała jej najśmielsze marzenia, w pośród nudów małżeństwa najgorzej dobranego. Takie życie było przecież na porządku dziennym we wszystkich romansach przeczytanych; chciały by była, aby trwało wiecznie, aby gruchał u jej nóg bez końca, ten, którego towarzystwo tak drogo okupiła. Pierwszem rozczarowaniem w tym śnie roskosznym, było oświadczenie Gastona, iż osiedlą się w jednem z miast mniejszych, aby mógł zacząć stale pracować, do czego zmuszają go nawet materjalne niedobory. Maks Henrion, do którego udał się w pierwszej chwili rozbicia moralnego, zaliczył mu trochę pieniędzy, a teraz starał się o umieszczenie jak najkorzystniejsze prac literackich Gastona. Od niego więc zależało korzystać jak najczęściej z dobrej woli przyjaciela wpływowego i o stosunkach bardzo rozległych.

Był w możności oddać się całą duszą zawodowi, który mu się najwięcej uśmiechał; cieszył się naprzód, iż będzie mógł wreszcie pisać śmiało, bez zapory, nie bojąc się, ażeby każdą myśl nowszą, oryginalną, poczytano za zbrodnię, wywracającą porządek społeczny, lub za obrazę w obec kasty, do której należał. Zerwawszy raz na zawsze ze społeczeństwem, mógł zrzucić i jarzmo, które mu dotąd ciężyło, i skrzydła orle w locie wstrzymywało. W tem uwolnieniu znajdował nieledwie wynagrodzenie za wszystko, co zresztą utracił. Poezja —

od dawna powziął był to przekonanie — jest złą karmicielką; zrobił więc był plan studjów rozmaitych, w które chciał wpleść uwagi nad wypadkami i dążnością dziewiętnastego stulecia.

W zapale, z którym brał się do dzieła, mówił o tem wiele Blance. Ta jednak słuchała go smutna i roztargniona. Przerwała mu wreszcie wykład jasny, czem ma być właściwie ta praca, zapytaniem pełnem trwogi:

— Ależ gdziekolwiek razem osiądziemy, nie ściągniesz nasz stosunek ogólnej uwagi i natrętnej ciekawości?

— Cóż nas to obchodzi? Musimy przyzwyczaić się do samotności wśród zgiełku światowego.

— Oh! samotność z tobą bynajmniej mnie nie przestrasza, ale być wystawioną na ogólne potępienie, na uwagi obelżywe, na pogardę ludzi! — szepnęła Blanka, wstrząsając się jak w febrze. — Przy dłuższym pobycie prędko się zorjentują... i będą mnie palcem wytykali!

Zobaczył, jak była dotąd przywiązaną do owych — jak je często nazywała — kłamstw socjalnych, i jak cierpi w końcu, straciwszy ów pozór szacunku, którym od dawna musiała się zadawalniać w świecie, dość jasno dającym jej do zrozumienia, iż patrzy wprawdzie przez palce, ale zna i wie o jej stosunku z Gastonem. Jawny skandal przestraszał ją; uważała go jedynie jako rzecz hańbiącą, a choć w chwili szału takowy sama wywołała, był on w jej oczach klęską najokropniejszą.

— Zgodziliśmy się przecie na to, mój aniołku — starał się ją Gaston uspokajać — że musimy starczyć sobie nawzajem za świat cały.

— Oh! — odpowiedziała — wiesz dobrze, że niczego więcej nie pragnę.

Było to szczerą prawdą. Aby zapomnieć o wszystkiem, nawet o własnym upadku, wystarczała obecność przy niej Gastona. Niechże się atoli na krok oddalił, lub zasiadł do pracy, nuda śmiertelna ją opanowywała; po kilku godzinach zastawał ją wciśniętą w róg kanapy, z łokciami na kolanach, z głową w dłoniach, połykającą łzy gorzkie, które się do ócz cisnęły. O czem tak dumała? Zdawało mu się, iż odgaduje, i słowy łagodnemi starał się uspokajać drażliwość sumienia, o którem sądził, iż tak samo jak jego własne, dręczy się srogiemi wyrzutami. Mylił się jednak wielce. U niej sumienie spało, a odzywał się tylko pewny rozstrój nerwowy i egoizm bezwiedny. Cierpiała widząc go oddanego pracy, kiedy ona chciałaby była, aby jej każdą chwilę życia poświęcał; istniał w niej i przez nią, tak jak ona w nim żyła jedynie. Nie pojmowała, że rola męża ma szersze pole do działania, nie może ograniczyć się na samej miłości, która kobietom zupełnie wystarcza. Wyobraziła sobie, że ostyga dla niej, a szukając powodów, nie znalazła nic prawdopodobniejszego, nad zmianę w jej urodzie. Była straszliwie zwiędłą i zestarzałą, mimo zdania pochlebnego księcia Druckoj, który widząc ją zdaleka, udrapowaną poetycznie w fałdy miękkie czarnej koronki, odtworzył z fantazji dawny ideał, pełen gracji i smętku czarującego. Wobec zwierciadła, które co chwila pytała, przesadzając w bujnej wyobraźni to, co jej odpowiadało, biedna kobieta wpadała w rozpacz dziką, a Gaston wysilał umysł daremnie, czemu jej smutek głęboki przypisać. Nie mógł się przecie domyślać, jak błahe, jak dziecinne ma do smutku powody! Daremnie próbował zainteresować ją swojemi pracami, daremnie mówił jej o sławie, która go czeka w niedalekiej przyszłości, o powodzeniu, które mają jego artykuły. Musiał przyznać to, czego dawniej nie widział w owym czasie, gdy czytywał wiersze, wielbiące jej wdzięki, któremi upajała się, jakby wonią kadzidła ku jej czci spalonego, musiał przyznać, że to umysł płytki, nie zdolny wznieść się wyżej, tak samo jak jej dusza nie była dość silną, aby stawić czoło opinji, która dla niej była czemś więcej, niż prawdziwa moralność i rzetelne poczucie obowiązków. W kilku tygodniach życia wspólnego, poznał dokładniej tę kobietę, niż przez lata całe stosunków dorywczych, trwożliwych, ukrywanych troskliwie. Nadaremnie pracował, aby ją odmienić. Nie tak to łatwo poprawić kobietę trzydziestoletnią, bez stałych zasad, bez myśli wznioślejszych, bez wykształcenia, któreby jej kazało szukać ideałów, po za egoistycznem szczęściem osobistem; o porywach namiętnych wprawdzie, ale które radaby w oczach świata przysłonić bodaj kłamliwym płaszczykiem cnoty i zacności. Nie można się było od niej spodziewać, w sytuacji jasno określonej, a tak wstrętnej jej naturze połowicznej, ani poświęcenia rzetelnego, ani prawdziwej odwagi; z drugiej strony czyż można było zdobyć spokój potrzebny do pracy, obok tej istoty rozdrażnionej i dziecinnej, którą trzeba się było zajmować od rana do wieczora. Zrozumiał to Gaston, pojął, iż będzie musiał ponosić dla niej jeszcze większe ofiary, niż to wszystko, co już jej poświęcił, i co go tyle, tyle kosztowało. Co go zaś bolało najdotkliwiej, to niemożność uczynienia Blanki szczęśliwą. Szczęście zależy głównie od szczerego wzajemnego wynurzenia myśli, a każde z nich niestety truło się myślami, o których mówić drugiemu nie mogło.

Blanka zdradzała się jedynie wyrzutami sumienia, iż żyje.

— Wiesz — odezwała się dnia pewnego — zaczynam żałować, żem umrzeć nie potrafiła. Zdaje mi się, iż ściślej byłbyś złączony z umarłą, niż jesteś teraz obok mnie siedzący...

Była to zawsze wymówka, chociaż nieśmiała i pełna słodyczy. Gaston się na nią obruszył niecierpliwie, widząc w niej znowu fiksację prawdziwą, pochłonienia czasu jego i osoby wyłącznie dla siebie. Blanka była mu zawadą wszędzie i zawsze, a jeszcze się skarży, jakby ją zaniedbywał! To było niesprawiedliwe, oburzające! Biedna kobieta, na tym jednym punkcie jasnowidząca, gdy chodziło o ścisłą analizę serca i uczuć Gastona, bo te studjowała z cierpliwością i wytrwałością męczennicy, widziała, że go słowa jej gniewają do ży-

wego, i powtórzyła w duszy ze smutkiem głębokim:

— O! czemuż wtedy nie umarłam!

Nie, zaiste! Ofiara opuszczona i pędząca dni samotne w swojej pustelni, nie była więcej godną pożałowania, niż tych dwoje wybrańców losu, sprzęgniętych w sam na sam, którego nic nie przerywało. Podobni oni byli do owych straszliwych potępieńców, przez Danta opisanych, którzy przykuci do siebie na wieki, goreją ogniem piekielnym, a rozłączyć się nie mogą.

X.

Pierwsze śniegi dopiero wypłoszyły Alinę z Bruyéres. Stare zamczysko, pełne dziur i szpar, któremi wiatr mroźny dmuchał, stało się nie możliwem. *W*róciła zatem choć niechętnie do Paryża, czując o ile życie będzie tam dla niej trudniejsze. Ułożyła naprzód plan postępowania, a stałe postanowienie ułatwia wielce i najdrażliwsze sytuacje. Zdecydowała się zamieszkać w pałacu de Sénonnes. Była zanadto młodą, żeby mogła obejść się bez opieki przynajmniej pozornie, wymówiła sobie jednak zupełną niezależność i pozwolenie nieprzyjmowania i niewidywania tylko tych, których sama wybierze.

— Wrócimy tu z pierwszym wiosny uśmiechem — mówiła Alina, żałującym ją szczerze wieśniakom. Potrafiła zyskać ich miłość i zaufanie, więcej jeszcze przez lubą prostotę i łagodną uprzejmość, niż przez liczne dobrodziejstwa, któremi ich obsypywała.

— A wróci pani tym razem z mężem? — pytały poczciwe, płaczące za nią kobieciny. — Niech wam Bóg daje szcząście!... i dużo ładnych dzieci!...

Odjechała, odprowadzona aż do granicy przez wieś całą, pożegnana tysiącem życzeń i błogosławieństw. Kto tylko zobaczył ją po powrocie, znalazł, iż wiele zyskała. Półroczna samotność i głębokie zastanawianie się nad życiem, wykształciły ją tak samo, jakby najmodniejszy wir światowy. Nabrała pewności w ułożeniu, nie straciwszy dawnej dziewiczej skromności i prostoty. Twarz jej była spokojną, umiała panować nad każdem żywszem wzruszeniem, co tak jest rzadkiem zjawiskiem nie tylko u młodych panienek, ale u kobiet w ogólności. Miss Ruth tłumaczyła ten fenomen frazesem czysto angielskim: „She has made up her mind“, który źle się tłumaczy: „Pogodziła się z losem“, — toby przypuszczało odrobinę lekkości i filozofji francuzkiej. Frazes atoli angielski wyraża raczej zwycięztwo nad sobą samym, poddanie się ciosom losu, bez grzesznej atoli apatji, bez wyrzeczenia się woli silnej, energicznej, która każdym naszym krokiem kieruje. Pokazywało się, że ta kobieta, która wczoraj jeszcze dzieckiem była, powzięła zamiar radzić się tylko siebie, nie oddawać się ani przyjaźniom pospolitym, ani płochym rozrywkom światowym; naprawiać ile możności postępowaniem bez zarzutu, bieg wypadków tak dla niej fatalnych. Jedni ją podziwiali, drudzy osądzili zimną realistką. Do tych ostatnich należała mama de Sénonnes, która spodziewała się przyjąć ją w ramiona rozpłakaną i omdlewającą.

Zrobiła ku temu minę pogrzebową i przygotowała kilka chusteczek batystowych.

Zgryzoty, które jej syn sprawiał, nie przeszkodziły bynajmniej do świetnych polowań w zamku Sénonnes, i do balów, jak corocznie bywało. Musiała przecież matka nieszczęśliwa czemś ból serca zagłuszyć. Alina podobnego z a g ł u s z a n i a nie potrzebowała, nie rozumiała nawet czego od niej chcą właściwie.

— To H i c M u l i e r! — zacierał ręce papa de Sénonnes. — Każe sobie zdawać rachunki dokładne z administracji majątku, i sama bilans rozchodu układa. Gdzieby myśl podobna przyszła u nas do głowy dziecku dziewiętnastoletniemu!

— Nigdy! przenigdy! — przywtarzała hrabina de Sénonnes, która w życiu całem jednego rachunku nie zrobiła. Pozwalała mężowi płacić długi za siebie, i wtedy tylko lamentowała, narzekając na „nędzną mamonę“, jeżeli mąż ją wyłajał, że za wiele wydaje.

— Więcej tam rozumu niż serca! — zawyrokował po cichu Alberyk de Vesore, z powagą niezachwianą człowieka, który wystudjował dokładnie wszelkie odmiany w rodzaju żeńskim. — Ale i takie Sawantki — kończył ręki machnięciem — idą na lep, tylko trzeba je mądrością przywabiać...

Hrabina Olga, której ciekawość (płynąca zresztą ze szczerej sympatji) była wielce podrażnioną, wzięła na kieł: — „że musi rozwiązać tę zagadkę i zbadać do głębi serce młodej kuzyneczki“. — Używała po temu wszelkich środków, które jej podsuwały zdolności wrodzone: nadzwyczajna przebiegłość i dar przekonywania. Rzecz szczególna jednakże, iż po każdej wizycie u Aliny, działo się wręcz przeciwnie. Zamiast, jak sobie postanawiała, zbadać i wyspowiadać to n i e w i n i ą t k o, hrabina spostrzegła ze zdziwieniem, iż sama wywnętrzała się przed tem d z i e c k i e m z myśli najskrytszych — aby jej dodać otuchy, ma się rozumieć — w zamian atoli nic nie otrzymywała, ani cieniu zwierzeń poufnych, oprócz słów czułych i łagodnych, które ukrywały w sobie częstokroć rady zdrowe i nader głębokie, chociaż wypowiedziane ubocznie i z wielką nieśmiałością. Jedyną Aliny powiernicą była książka ze sztucznym zameczkiem, od której kluczyk z zazdrosną przezornością, wiecznie przy zegarku nosiła. Tam co wieczór wylewała na papier myśli, które przez dzień serce i głowę rozpierały. Przez szczególny przywilej autorski, pozwolimy sobie przez jej ramię odczytać na chybił trafił niektóre ustępy. One dopiero odkryją nam całą siłę tego charakteru, i głębię uczuć, która dla ogółu była zakryta pozorną obojętnością.

1. grudnia.

„Straciłam najlepszego przyjaciela, słońce, które tam było mi w niejednym smutku pociechą. Jakoś łatwiej żyć w lecie... zieloność, blask słoneczny, świegot ptasząt... czyż można wśród tych roskoszy o troskach pamiętać? Tu siedzę naprzeciw mojego ja, zamknięta w pokoju, gdzie trzeba myśleć i zastanawiać się nad

sobą koniecznie, z nogami opartemi o żelazo kominka, zamiast podziwiać cuda natury.

Myślę więc... przypominam sobie, że w tym domu widziałam go po raz pierwszy; odczuwam te wszystkie ułudne nadzieje, które dzwoniły mi w sercu, gdym przestępowała próg tej bramy z ogromną tarczą herbową, rzniętą w kamieniu. Obecnie z okien mojego pawilonu, jedyny ona widok stanowi... Myślę nadto wiele, a to niedobrze... w skutku przychodzą omdlenia moralne, długo, długo trwające, i łzy głupie, niepotrzebne, które i w tej chwili plamią mi papier zapisany. Skończmy na dzisiaj, skoro one przestać nie chcą i płyną w najlepsze...“

16. grudnia.

„Pani de Sénonnes jest dobrą niesłychanie, a przynajmniej chce nią być. Odwidza mnie często, siada naprzeciw, wydaje kilka westchnień głębokich i robi kilka uwag najczęściej bardzo niezgrabnych. Przyjmuję czasem miejsce w jej karecie, wiedząc, iż chętnie popisuje się przed światem swoją dla mnie dobrocią, która ma naprawić krzywdy przez syna wyrządzone. Biedna kobieta! Cierpi pewnie nie mniej odemnie. Ale co za przymus, w tych naszych stosunkach! Nie mogę dopatrzeć (choć ona to zawzięcie utrzymuje), przywiązania macierzyńskiego w dowodach jej życzliwości, a jednak byłabym jej córką, gdyby... Koniec końców nosimy to same nazwisko... nazwisko dreszczem przejmujące, wiele razy do mnie je zastosują... Wszystko jest kłamstwem tutaj i obłudą! Nie jestem więcej panną Béraud, czyż jestem atoli panią de Sénonnes?... Po kolei odczuwam w sobie jakby dwie różne istoty, podług tego czy jestem smutną, czy wesołą... bo i to się zdarza, choć doprawdy nie wiem jakim cudem. Musi tak być, jak utrzymuje miss Ruth, że wesołość oznacza silne i zdrowe nerwy, na które wypadki zewnętrzne mało oddziałują... Dość na tem, że nie raz śmiejemy się jak szalone, jak za dawnych dobrych czasów... wtedy przypomina się panna Béraud. Tysiąc razy wolę tę miłą trzpiotkę, niż to moje drugie ja, które (mimo iż to pokrywamy jak możemy) czuje się okropnie wykolejone, w najfałszywszej pod słońcem sytuacji, i chciałoby... Czegoż bym ja mogła chcieć właściwie? Nic w życiu nie wydaje mi się pożądanem, ani możebnem, a jednak żyję z dnia na dzień, częstokroć nawet nie nudząc się wcale...“

18. grudnia.

„Nie nudzę się?... tak, dzięki czytaniu. Czytam wszystko, od kiedy d a m ą zostałam. Hrabina de Vesore pożycza mi romanse, które raczej mię dziwią, niż zachwycają. Nawet w utworze wyobraźni pociąga nas to tylko, cobyśmy w rzeczywistości mogli odczuć sami; te zaś opisy nie mają nic wspólnego z moją własną historją, nader, co prawda, wyjątkową, nader krótką, którą możnaby streścić (gdyby kto chciał zająć się jej opisaniem) w tych kilku słowach: — N i e b y ł a k o c h a n ą. — Wszystkie zaś bohaterki romansowe są ukochane do szaleństwa!... Katastrofy później nadchodzą, po okresie pełnym upojenia namiętnego, zwykle z ich własnej winy. Jam więc do nich zupełnie nie podobna. Wydają mi się po części wielce wymagającemi, nadzwyczaj nierozsądnemi i niewiedzącemi czego chcą właściwie. Moje o szczęściu wyobrażenie było w końcu bardzo skromne. Byłabym się zadowolniła szczęściem prostaczków. W górach, tam w Owernji, było młode stadło wieśniacze, które zazdrość we mnie wzbudzało. Pokochali się dziećmi jeszcze; długo na siebie czekali; kobieta karmiła najmłodsze, a dwoje starszych dziatek bawiło się u jej nóg lub czepiało fartuszka, gdy szła w pole; mąż kawał ziemi nieurodzajnej i krzemienistej uprawiał w pocie czoła. A jednak kochali się i byli szczęśliwi. Czyż pod tym tylko warunkiem szczęście się zdobywa, jeżeli zejdziemy do tak niskiego stopnia umysłowego, jeżeli znajdziemy się po za wszelką cywilizacją? Jakżeby w takim razie biedacy i prostaczkowie byli godni zazdrości!

„Co mnie stokroć więcej zajmuje, niż romanse drukowane, to życie samo, życie w rzeczywistości, które odsłaniają przedemną pogadanki z istotą dziwną, lecz nie mniej czarującą, jaką jest pani de Vesore. Rozmawiamy chętnie ze sobą, jest mi coraz więcej sympatyczną, winnam jej zresztą wiele wdzięczności. W chwili najstraszniejszej, była dla mnie niezrównaną. Okazała się ona jedna dyskretną, nie narzucającą, a pełną delikatnego współczucia. Nigdy jej tego nie zapomnę, i mam nadzieję, że z czasem połączy nas przyjaźń ścisła i rzetelna. Czem mnie szczególniej ku sobie pociąga, to tem, że i jej los tak świetny na pozór, jest w gruncie nędznym, nędzniejszym może niż ona chce przyznać, niż sama to odczuwa. Kobiety z wielkiego świata, zdają się godzić tak łatwo na hańbiące podziały, przyjmują z zimną krwią oszukiwanie obłudne, niewierności mężów, które są na porządku dziennym, jak gdyby to wszystko było całkiem naturalne, i nie dające się odmienić. Pierwsze z tego żartują, śmieją się w najlepsze, a jednak serce im się musi krwawić, a jeżeli krwią się nie zalewa, to chyba długo nad tem pracowały, aby to serce skamieniało. Otóż biedna Olga wie doskonale, że ją mąż zdradza, od niechcenia, dla kaprysu po prostu, nie przywiązując do tych pokątnych miłostek najmniejszej wartości; udaje oszukaną, przyjmuje wesoło wymówki obłudne, pozory niedorzeczne, które mu służą za płaszczyk, okrywający brudne awanturki, najwięcej jeżeli się kiedy zemści, wprawiając go w kłopot ostrym docinkiem; i to się nazywa małżeństwem przyzwoitem i dobranem? Może by nawet w danym razie poświęcił jej swoje metresy, bo dla niej ma szczerą przyjaźń, a dla tamtych li kaprys przelotny. Cóż się jednak dzieje z wzajemnym szacunkiem, wśród tej ciągłej tolerancji i tej nieustającej obrazy? Spytałam ją raz o to, gdy mi opowiadała swój rodzaj życia domowego, którym żyją po większej części kobiety z jej sfery. Jeżeli tym opisem chciała mnie pocieszyć, iż przynajmniej przez zupełne opuszczenie, uniknęłam związku tak obustronnie upadlającego, to istotnie celu

dopięła. Gdy — jakby na zakończenie tych smutnych zwierzeń, rzekła mi z gorzkim uśmiechem: — Muszę wracać prędko do siebie, Alberyk jedzie ze mną dzisiaj na bal do ambasady; oddają mi go o jedenastej — uczułam się niemal szczęśliwa z mojego losu. Da się przynajmniej pogodzić z pewną godnością, pozwala mi żyć samej, lecz wolnej. Zrozumiałam te słowa z jego listu, których dotąd nie pojmowałam: — „Mógłbym stać się jeszcze nikczemniejszym i winniejszym“. — pojęłam i to, że Olga, jakkolwiek jest zachwycającą, nie będzie mi prawdziwą przyjaciółką, póki nie odzwyczai się szukać fałszywych rozrywek, a raczej zagłuszać się lekkomyślnie życiem światowem, bez celu, bez jutra, w nieszczęściu aż nadto rzeczywistem; póki nie przestanie drwić z własnej nędzy, zamiast starać się ją siłą woli usunąć. Nikt nie ma prawa igrać z życiem, żartować z rzeczy najświętszych; gdy wpadamy w stan tak nienaturalny, stajemy się czemś gorszem od zwierząt bezrozumnych. Bóg nie poznaje wtedy człowieka, to swoje dzieło najwspanialsze, nie poznaje tej duszy nieśmiertelnej, która zamiast wznosić się do swojego pierwowzoru, tonie powoli, zaciera swój boski początek w płochej nicości. Nie można się dziwić, że się od takiej duszy ze wstrętem Bóg odwraca i rzuca ją na pastwę czczości i próżności, tym dwom mocom piekielnym, z których pomocą szatani najwięcej dusz łowią, i skoro raz przywabią je tą ponętą, już są zgubione bez ratunku! Ja przecież spróbuję wyrwać im biedną Olgę, abym mogła potem ukochać ją jak siostrę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanka.

Zanim pogadanka ta dojdzie do rąk Waszych, będziecie już zapewne siedzieć za stołem i po całodziennym poście z roskoszą spoglądać na pełne półmiski szczupaków i karpi, apetytnie pływających wśród przeróżnych sosów. Wątpię, by w takiej chwili obchodził Was co *Świat powieściowy*, więc i życzeń moich na czas byście nie odczytali, wolę przeto wszystkie zachować do następnej pogadanki, bo przecież i przy nadchodzącym nowym roku coś Wam trzeba będzie życzyć.

Nareszcie jakoś szczęśliwie zakończyliśmy sezon śledzi i wchodzimy w najroskoszniejszy sezon pączków. Jakkolwiek tego roku jest on nadzwyczaj krótki, spodziewamy się jednak wytańczyć należycie, a sądząc z dotychczas zapowiedzianych balów, nawet więcej jak zwykle. Że się one wszystkie udadzą, o tem nie wątpię ani na chwilę, bo nadzwyczajną jest u nas rzadkością, by się jaki bal nie udał. Nie mówię to pod względem zabawy, bo ta zależy od najróżnorodniejszych okoliczności, lecz co się tyczy ilości uczestników i uczestniczek. Zawsze bowiem dotychczas mieliśmy ich tyle, by zapełnić nasze sale balowe, by było komu tańczyć, obgadywać, filary podpierać i pietruszkę sprzedawać! Sale balowe! na to wspomnienie aż mię zimno przeszło! Jużto, co się tyczy sal balowych, to się pochlubić niemi nie możemy! Jeszcze same sale, mimo swej ciasnoty i braku wentylacji, na nasze potrzeby by wystarczyły, lecz brak wszelkich pobocznych ubikacji, okropnie daje się we znaki. Największy brak uczuwamy odpowiednich lokalów na jadłodajnie, które przecież po sali samej najpierwsze miejsce zajmują. Niezapomnę nigdy tej afery w sali domu narodnego, gdy zgłodniały, godzinę nie mogąc znaleźć kącika, w którym mógłbym się pożywić, wlazłem aż do kuchni, gdzie poczciwe kuchareczki dopiero mię nakarmiły. Drugą podobną aferę miałem w sali kasyna miejskiego, gdzie po długiem daremnem czyhaniu na krzesło, wyrwałem z ręki kelnerowi jakiś talerz, i usiadłszy na wschodach, wiodących z pokojów dolnych do restauracji, z miną filozofa zabrałem się do spożywania darów bożych.

Nareszcie tak głośna sprawa teatru, została załatwiona. Czy obrońcy Melpomeny rzeczywiście ją obronili, czas to dopiero okaże. Pan Jan Dobrzański otrzymał dzierżawę teatru, lecz warunki szczegółowe dotychczas nie są znane. Drugi petent, Józef hr. Drohojowski, w ostatniej chwili wniósł jakiś bombastyczny program, podług którego zamierzał scenę prowadzić, gdzie na samym początku uroczyście zapewnia, że nie ubiega się o dyrekcję w celach spekulacyjno-finansowych, lecz jedynie z zamiłowania do sceny narodowej, dbały o jej dobro. Że ma on „nadzwyczajne zamiłowanie do sceny“ o tem nie wątpię ani na chwilę, bo znamy tego pana zbyt dobrze we Lwowie, byśmy wątpić o tem mogli. Dziwi mię tylko, że petycję tę brano na serjo, zamiast uśmiać się z niej serdecznie. Panu Drohojowskiemu zaś radzę po doznanym zawodzie pocieszyć się objęciem dyrekcji tinglu „Eldorado“, który zbankrutował, i gdzie jego „zamiłowania do sceny“ znajdą dosyć pola do popisu.

Koniec końców sprawa dyrekcji teatru załatwioną została, a czy szczęśliwie, blizka przyszłość okaże. Że chwilowe załatwienie tej sprawy, spokoju na długo nam nie zapewni, za to zaręczyć Wam mogę, bo nasi Zoile od lat kilkunastu zbyt przywykli do tego rodzaju krytyk, by długo, choćby tylko neutralnie, zachować się potrafili. Panu Dobrzańskiemu zaś szczerze życzę, by scenę naszą zdołał wyżej postawić, lecz tu jego dobra wola nie wystarczy, do tego trzeba lepszego gustu publiczności i zamiłowania w sztukach poważniejszych a czy mu gust ten i zamiłowanie wyrobić się uda, zobaczymy.

Z teatru jeszcze donieść mi wypada, że benefis p. Zamojskiego pod względem udziału publiczności wypadł jakoś nie świetnie. Loże świeciły pustkami. O grze artystów można wyrazić się tylko dodatnio, a beneficjant zbierał szczere i zasłużone oklaski.

Zapowiedziany koncert pani Anny de Blanc, nadwornej wiolinistki belgijskiej, odbył się również przy nielicznym udziale publiczności. Od dni zaś kilku raczy nas dyrekcja „Jasełkami“, co wcale nie było szczęśliwym pomysłem, bo teatr nie dla Jasełek, ani Jasełka dla teatru

Kwik-kwak.

☞ Z dzisiejszym zeszytem przesyłamy przekazy zwrotne dla tych Szan. Abonentów, którym się kończy przedpłata, upraszając zarazem o wczesne zamówienie dla uregulowania nakładu i możności dostarczania bez przerwy żądanych egzemplarzy.

Prenumerata wynosi: we Lwowie i na prowincji: Kwartalnie 2 złr. — Półrocznie 4 złr. — Rocznie 8 złr.

Administracja Świata powieściowego.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.